

VALENTIN MANDELSTRAMM.

FATALNY DYAMENT.

Tłumaczyła z francuskiego: MARYA SEGENY.

2

Pierwsze, większe zdobyte pieniądze zawdzięczał spekulacyom swoim na kopalniach złota w Afryce południowej. Upodobanie do podróży i łatwość przyswajania sobie języków dopomogła mu znakomicie do wyrobienia sobie stosunków potrzebnych, a chwila wojny angielsko-boerskiej stała się decydującą w jego karierze.

W czasie tym, dzięki ogromnej znajomości terenu i jasnego poglądu na stan rzeczy, zaokrąglił majątek swój do sumy dwudziestu milionów franków.

Na Gieldzie liczono się z nim i ceniono należycie. Versigny był przekonania, że każdy finansista obowiązany jest korzystać z każdej sposobności powiększenia swojego majątku, choćby w ryzykowny, ale godny sposób.

I nie odrzucał też żadnej takiej sposobności i nie lekceważył ludzi, od których pomoc w tym kierunku przyjsć mogła.

W tym celu więc, kiedy pracował nad utworzeniem swojego „Towarzystwa kopalnianego“, przyjął chętnie pośrednictwo i usługi, ofiarowane mu przez nikłego, starego człowieka, który przez pewien czas nachodził go w biurze, wyczekując długie godziny w jego przedpokoju.

Ten nędzny, niepokazny człowiek okazał się w pierwszej z nim rozmowie poważną figurą. Był to Stefan Seelencher, stary oryginał i milioner, mieszkający w Hamburgu, a któremu zawdzięczał doprowadzenie wielkiego projektu swojego do skutku.

Versigny był bardzo surowy i wymagający dla otoczenia swojego, kiedy chodziło o pracę obowiązkową, lecz znając niebezpieczeństwo codziennych słabostek ludzkich, wynagradzał tę surowość swoją niezwykłą i pobłażliwą dobrocią w prywatnym zotknięciu się ze swoimi urzędnikami.

Mając lat 30 Versigny, w pełni swojego rozkwitu finansowego, ożenił się z młodą dziewczyną, sierotą, panną de Lambriere, pochodzącą ze zrujnowanej rodziny szlacheckiej. Versigny poznał ją w Tunisie, gdzie mieszkała z bratem, porucznikiem przy strzelcach.

Zył z nią w zgodnej harmonii przez lat pięć, aż do chwili, kiedy nagle uległa ostremu zapaleniu płuc, któremu oprzeć się nie mógł wiaty jej i delikatny organizm. Śmierć jej przynębiła silnie Jérôme Versigny, do tego stopnia, że tylko myśl o córeczce, którą mu pozostawiła, zdołała go wyrwać z depresji i rozpacz, w jaką się pogrążył.

Po odebraniu Michaliny z klasztoru, gdzie ją umieścił na żądanie matki, otoczył ją w domu wszelkiem staraniem i opieką. Tam, pod kierunkiem nauczycielki, miss Hopkins, osoby starszej i poważnej, młoda dziewczyna dopełniała swojego wykształcenia.

Michalina, natura czysta i impulsywna, przywiązała się do ojca bezgranicznym przywiązaniem, w którym mieściło się wiele podziwu dla jego charakteru i zdolności. Stosunek ich wzajemny był przyjacielski i serdeczny. Młoda dziewczyna patrzyła na ojca, jak na istotę wyższą, wyodrębniającą się z pośród ludzi znanych, a również jak na jedynego przyjaciela, do którego zwracała się z całym zaufaniem.

Najbliższym i jedynym członkiem rodziny Versigny był baron Gerard de Lambriere, wuj Michaliny, brat jej zmarłej matki.

Lambriere zajął lat dwadzieścia pięć w chwili, kiedy bankier poślubił jego siostrę.

W tym czasie podjął był powtórnie służbę wojskową, którą zmuszony był opuścić z powodu różnych nieformalności służbowych, a przede wszystkim namiętności do gry hazardowej. Był to człowiek o niespokojnej, gorącej naturze, łaknący życia. Zbliżenie się jego do bankiera Versigny wywarło na nim wpływ bardzo dodatni.

Versigny zajął się nim jak bratem rodzonym i przez lat kilka dzięki tej opiece i wielkiej energii Gerarda de Lambriere, zdolnej zarówno do czynów użytecznych, jak i szkodliwych — ten ostatni okazał się doskonałym współpracownikiem bankiera.

Ale pomalą, dawna jego, nieokiełzdana natura występować zaczęła coraz silniej, a kiedy odziedziczył po dalekim jakimś krewnym dość znaczny majątek — zarzucił zupełnie podjętą pracę i powrócił do dawnego życia.

Z majątkiem tym załatwił się szybko i nadszedł dzień, w którym Versigny, spłaciwszy po raz ostatni

zaciągnięte przez szwagra zobowiązanie, oświadczył mu stanowczo, że nadal nie może więcej liczyć na jego pomoc i pobłażanie.

Gerard de Lambriere przyjął pozornie ze spokojem to ostrzeżenie i od lat trzech już był bardzo rzadkim gościem w domu szwagra.

Po jakimś czasie zresztą wynalazł sobie zajęcie administracyjne w banku austriacko-bułgarskim, operującym we Francji i jak utrzymywał, czuł się na drodze do zrobienia majątku.

Michalina.

Zaledwie Bernac wszedł do małego saloniku, ozdobionego delikatnymi makatami i dywanami, wprowadzony tam przez służącego bankiera Versigny, kiedy wbiegła szybko Michalina, wyciągając do niego obydwie ręce przyjacielskim ruchem:

— Ah! Panie Bernac! Jakże szczęśliwą jestem, że pana widzę! Pan jeden może mi dodać odwagi i nadziei! Prawda, że ojciec mój żyje jeszcze! Ze go znowu zobaczę! Dziś może jeszcze... bo przecież panu wiadomem być musi, że zniknął nagle wczoraj z domu i dotąd nie wiem, co się z nim stało? Oczy młodej dziewczyny pełne były łez, a twarz jej błada, zdradzała silnie przebyte wzruszenia i niepokoję.

Bernac milczał długą chwilę, współczując jej bólowi i nie chcąc go potęgować jeszcze słowami, jakie miał wymówić! Bo przecież Michalina nieświadoma była jeszcze niepokojących okoliczności, towarzyszących zniknięciu Versignyego i podobieństwa jego fizycznego do mordercy z ulicy Helder! Versigny również, jak tamten, nosił długi płaszcz futrzany z podniesionym kołnierzem, posługiwał się laską o srebrnej gałce i gdy wychodził zabierał zawsze ze sobą teczkę ze skóry czerwonej.

Bernac drżał na myśl o rozpacz i zdumieniu młodej dziewczyny, kiedy zapozna ją z tymi smutnymi szczegółami.

A przecież postanowił powiedzieć jej wszystko, w nadziei, że ona potrafi mu może wytłumaczyć tę dręczącą zagadkę i dopomóc w odkryciu prawdy.

Ale przedtem jeszcze, chociaż leżał się głęboko o los bankiera, chciał serdecznymi słowami wzbudzić jej zaufanie i przekonać, że liczyć może na niego, jak na oddanego przyjaciela.

— Panno Michalino — rzekł wzruszony — przekonana się pani w przyszłości, że nie zawiodę pani zaufania. Miałem... to jest mam dla pana Versigny uczucie głębokiej sympatii, szczerze mu jestem życzliwy i wiadomość o jego tajemniczym zniknięciu dotknęła mnie bardzo — równie może silnie, jak panią. Tylko przedewszystkiem musimy się oboje uzbroić w zimną krew i odwagę i nie potęgować wrażenia chwili zdenerwowaniem i bezradnością.

— Nie zabraknie mi odwagi, zaręczam panu — zawołała Michalina, zaciskając ręce.

Twarz jej w jednej chwili zatraciła wyraz bolesny i zabłysła energią i siłą.

— Oh! Tak, to dobrze! — uśmiechnął się z zadowoleniem Bernac — Taką widzieć panią pragnęłam. Jeżeli przyszedł do pani, to dlatego, ażeby wspólnymi siłami odkryć tajemnicę, wiszącą nad panem Versigny. I odkrywamy ją.

Bernac może nie wierzył w ducha w łatwość rozświetlenia sprawy, ale nie mógł oprzeć się pragnieniu ulżenia bólesci młodej dziewczyny.

— I odnajdziemy ojca! Prawda, panie Bernac! — zawołała Michalina.

— Tak, odnajdziemy go! — powtórzył odważnie.

— Ah! Dziękuję panu. Gdyby pan wiedział, jak te słowa zbawiennie na mnie działały. Już sama myśl, że czuję pana przy sobie, czyni mnie silną.

— I musi być pani silną nadal, bo jestem zmuszony wtajemniczyć panią w rzeczy ważne, które jeszcze więcej zaniepokoić mogą. Dowiedziałyby się pani o nich zapewne i bezemnie w czasie rozprawy sądowej, wolę więc być tym pierwszym, który to pani oznajmi.

Silne drżenie wstrząsnęło ciałem Michaliny. Opanowała się jednak szybko i wskazując Bernacowi wolne krzesło, wyrzekła spokojnie:

— Porozmawiajmy więc. Może pan wszystko mówić. Jestem w stanie wysłuchać i zrozumieć wszystko!

Bernac usiadł więc obok niej i streścił opowiadanie woźnego i pana Delong. Poczem przystąpił do objaśnienia jej zbrodni, dokonanej w hotelu „Princelet“. Lecz kiedy doszedł do opisu człowieka, który odwieździł sir Archibalda Graves w jego mieszkaniu, okrzyk zdumienia i rozpacz wybiegł z piersi Michaliny.

— Co? Co pan mówi? — zawołała, chwytając

Bernaca gorączkowo za ręce — Ten człowiek podobny był do mojego ojca! I jego posadzają o...

— Ależ to może być jeszcze bez znaczenia — przerwał szybko Bernac — Jedna rzecz jest tylko pewna, że ojca pani i sir Archibalda Graves łączyły stosunki znajomości. Mogę to twierdzić z wszelką pewnością, gdyż jeszcze trzy miesiące temu pan Versigny mówił mi o jakimś spotkaniu ze sławnym prezydentem trustu angielskiego. Ten podobno zaniepokojony był wzrastającym znaczeniem „Towarzystwa francuskiego kopalni dyamentowych“ i przy-

był rozmyślnie do Paryża w tym celu, aby prosić pana Versigny, żeby nie przeciwdziałał jego interesom i planom. Wiem ponadto, że nawet groził ojcu pani, w razie gdyby ten nie zechciał się zastosować do jego pragnienia. Sir Archibald Graves nie wiedział jednak, że ma do czynienia z człowiekiem równie jak on silnym. Pan Versigny umiał go zniechęcić do dalszych nalegań, ale uczynił sobie z tego człowieka śmiertelnego wroga.

— A teraz, panno Michalino — rzekł Bernac po krótkiej chwili zastanowienia — mam do zadania pani kilka ważnych pytań. Niech pani wezwie na pomoc całą swoją przytomność umysłu i pamięć i niech pani wybaczy, jeżeli okaże się niedyskretnym i bezwzględny, jeżeli zajrzeć będę chciał w prywatne życie ojca pani. Ale pani zrozumie, że chcąc go odszukać i ratować, wiedzieć o nim muszę wszystko.

— Niech pan pyta. Nie mogę chcieć ukryć czegokolwiek, lub zrazić się pytaniem pana, gdy chodzi o uratowanie mojego ojca.

— Oto mądra i dobra odpowiedź, panno Michalino. Jest pani dzielną istotą.

Michalina uśmiechnęła się lekko.

— Cieszę mnie słowami pana, panie Bernac! — odpowiedziała z prostotą — Proszę, słucham!

— To pierwsze pytanie będzie rzeczywiście bardzo niedyskretnie i niewłaściwie może. Czy w zachowaniu się ojca pani nie spostrzegła pani w ostatnich czasach coś takiego... co nasunęłoby przypuszczenie, że ojciec pani poza domem utrzymywał stosunek jakiś... serdeczną znajomość z jaką osobą. Zwierzeń podobnych naturalnie od ojca pani odebrać nie mogła... ale istota taka, jak pani, rozumie chyba realne strony i potrzeby życia...

— Nie, panie Bernac! Sądzę, że nic podobnego nie było. — odpowiedziała poważnie Michalina — Stosunek mój do ojca był bardzo serdeczny i przyjacielski i choć jasne jest, że nie mógł wtajemniczać mnie w sprawy tego rodzaju — jednak odczułabym je sama, żyjąc ciągle przy jego boku.

— To mi zupełnie wystarcza, panno Michalino i odpowiada temu, co sam wiedziałem o ojcu pani. Więc stanowczo, według przekonania pani, w nagłym zniknięciu pana Versigny nie można szukać motywów tego rodzaju... Ta hipoteza odpada, bo jest nieprawdopodobną — nieprawdą?

— Tak, panie Bernac, całkiem nieprawdopodobną. A zresztą zdaje mi się, że niema rzeczy na świecie, któraby zmusiła ojca do zniknięcia w ten sposób, choćby na jeden dzień. Wiedziałby przecież, w jakim mnie pozostawia niepokoj i trwode. Jeżeli milczy dotąd i nie daje żadnego znaku o sobie, to tylko dowodzi, że go do tego milczenia siłą zmuszono. Jestem przekonana, że został ofiarą jakiejś niecej zasadzki.

— Jestem tego samego zdania. Ale niech mi pani powie, panno Michalino, może miss Hopkins, która żyje od dłuższego czasu w otoczeniu waszem, wie o pewnych sprawach pani nieznanach? Gdzie się obecnie znajduje miss Hopkins?

— Wyszła przed chwilą, aby odwiedzić przyjaciółkę chorą, przybyłą na krótko do Paryża. Ale sądzę, że wkrótce powróci.

— Bardzo dobrze. Czy nie przypuszcza pani, żeby ona mi dać mogła pożądane wyjaśnienie?

— Ależ, panie Bernac! Myśmy już obydwie między sobą szeroko omówiły to straszne wydarzenie! Zastanawialiśmy się nad wszelkimi możliwymi okolicznościami, aby znaleźć jakieś wytłumaczenie, najdrobniejszy fakt z życia ojca brałyśmy pod uwagę, przywołując wspomnienia jak najdalej. I niestety wszystko było nadaremnie! Powiem panu nawet coś więcej. Narazając się na niezadowolenie ojca po jego powrocie, przejrzałam w biurku wszystkie jego papiery i listy! Nie było ich wiele, bo on miał zwyczaj niszczyć natychmiast swoją prywatną korespondencję. Co zaś do papierów urzędowych, tych w domu niema, są w biurze. Ale z tego wszystkiego, co przerzuciłam w domu, nic odkryć nie mogłam.

— Czy pani przystąpiła do tej czynności sama, czy w obecności miss Hopkins?

— Sama.

— Czy nie zauważyła pani w tym czasie zmiany